

Stefania Kossowska, Mirosław Kowalski

Świadectwa

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 276-281

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ŚWIADECTWA

ROZMAWIAŁ MIROŚLAW KOWALSKI*

Stefania KOSSOWSKA (Wielka Brytania)

Mirosław Kowalski: Kontynuowała Pani dzieło Mieczysława Grydzewskiego, dobrze go Pani знаła. Jakim człowiekiem był redaktor „Wiadomości” na co dzień?

Stefania Kossowska: Żył tylko swoim piśmem. Wstawał o szóstej rano — mieszkał pod Londynem — i przyjeżdżał do Londynu pierwszym pociągiem, razem z robotnikami zatrudnionymi w londyńskich fabrykach. Do dziewiątej pracował w redakcji i przed przyjściem Antoniego Bormana, z którym w 1924 r. założył „Wiadomości Literackie”, a który zajmował się sprawami finansowo-administracyjnymi, uciekał, żeby się z nikim nie widzieć, do czytelni British Museum. Jego miejsce w czytelni było zawsze zastawione książkami, tak żeby się nikt do niego nie przysiadł. Grydzewski by chyba dostał szału, gdyby ktoś usiadł koło niego i spróbował, bo ja wiem obgryzać paznokcie albo brzęczeć kluczami. O pierwszej szedł na obiad do pobliskiej restauracji, czasem na pół godziny wpadał do redakcji — nie było to daleko, „Wiadomości” miały swoją siedzibę na Great Russell Street, naprzeciwko muzeum — zabierał pocztę i znowu uciekał. Wracał o piątej, kiedy już nikogo w „Wiadomościach” nie było, i siedział do ostatniego pociągu, którym wracał do domu o dwunastej.

W jaki sposób porozumiewał się ze współpracownikami?

Pisał na maszynie króciutkie listy. Trzy zdania z dziesięcioma odręcznymi poprawkami. „Dziękuję”. „Będę o tej i o tej...”. Nie znosił telefonu, żal mu było każdego kwadransu na rozmowę. Jeśli się z kimś spotykał, to przeważnie w czasie lunchu. Wylączył się z życia towarzyskiego, z nikim się nie widywał. Myśmy z mężem byli chyba jedynymi, do których przychodził na kolację. Te kolacje to cały rytuał. Tylko w trójkę, tylko w niedzielę, punktualnie co do sekundy. Był czarującym gościem, zawsze serdeczny, podniecony wszystkim co mu się ostatnio przydarzyło, i od razu zaczynający o tym opowiadać. Praca była dla Grydzewskiego jedyną przyjemnością, narkotykiem, on się tą pracą zabijał. Mając 72 lata dostał udaru mózgu. Przez trzy lata żył jeszcze w zakładzie, sparaliżowany, pod koniec niewidzący. To była skłonność rodzinna. W ten sposób umarli jego rodzice, on sam się z taką śmiercią liczył. I mimo to nie oszczędzał się, harował przez osiemnaście godzin na dobę.

* W tekście rozmowy, publikowanej w „Kulturze Niezależnej” w drugim obiegu, autor krył się pod pseudonimem Marek Korab.

Czy to prawda, że chciał te swoje ukochane „Wiadomości” zabrać ze sobą do grobu?

Tak. Liczył po cichu, że się „Wiadomości” skończą razem z nim. „Wiadomości” były prywatną własnością Grydzewskiego, tak samo jak przed wojną „Wiadomości Literackie”. Strzegł jej zazdrośnie i nikogo do niej nie dopuszczał. Nawet Borman, jego najbliższy współpracownik, nigdy nie wiedział, co się ukaże w najbliższym numerze. Było wielkim wyrzeczeniem ze strony Grydzewskiego, że się zgodził, by „Wiadomości” wychodziły nadal, już nie pod jego redakcją, w czasie jego choroby i po jego śmierci. Ale tych „nowych” „Wiadomości” on już nigdy nie czytał; gdy Borman przynosił mu do zakładu nowy numer, Grydzewski go nawet nie otwierał, czasem tylko spojrzął na ostatnią stronę, na swoją stałą rubrykę „Silva rerum”, którą prowadził dopóki zdrowie pozwalało.

Grydzewski oddał nie tylko swoją własność, ale też zabezpieczył jej byt, stwarzając fundusz...

Nie było żadnego funduszu. Nikt nie wiedział w jaki sposób Grydzewski zdobywał pieniądze na wydawanie „Wiadomości”. Raz dostał jakąś zapomogę stąd, raz stamtąd, jego manewry finansowe to cała historia. Jak już był w zakładzie, Antoni Borman otrzymał z Niemiec odszkodowanie, parę tysięcy funtów, i wkrótce umarł. Grydzewski nie znosił się z Bormanem z powodów czysto charakterologicznych, to były dwa zupełnie inne typy ludzkie — ale byli wobec siebie niezwykle lojalni. Obaj samotni zrobili na siebie wzajemnie testamenty i po śmierci Bormana to jego odszkodowanie przeszło na Grydzewskiego. Grydzewski stworzył trust — po polsku to się chyba nazywa spółka powiernicza — powołał do niego Wierzyńskiego, Sakowskiego, Raczyńskiego i mnie, i nam właśnie przekazał „Wiadomości”. Następcą Grydzewskiego został Michał Chmielowiec — od listopada 1966 r. jego nieformalny zastępca — poeta, krytyk literacki, pracownik Radia Wolna Europa, człowiek świetnie się do tej pracy nadający i niezwykle do niej zapalony. Chmielowiec redagował pismo przez dwa lata, ale w styczniu 1969 r. poszedł do szpitala na operację katarakty obu oczu. I wtedy zaczęła się tragedia, kto go zastąpi? Juliusz Sakowski mnie przydusił, żebym się zgodziła na dalsze wychodzenie pisma. Ja — bardzo niechętnie — byłam dziennikarką, ale nigdy gazety nie redagowałam — wyraziłam zgodę. I jakoś mi poszło. Chmielowiec był poważnie chory, siedł do szpitala na dwa miesiące, na pół roku, na trzy tygodnie i wtedy ja go zastępowałam. Było to o tyle zabawne, że myśmy nigdy nie pracowali razem w redakcji. Raz tylko, w ciągu godziny, Chmielowiec powiedział mi co i jak, pokazał jakieś teczki... Przez cały 1973 r. Chmielowiec już nie przychodził, na początku 1974 r. zmarł i wtedy ja — z konieczności — zostałam redaktorem „Wiadomości”.

Dlaczego z konieczności? Nie było chętnych na to stanowisko?

Owszem, byli. Tacy redaktorzy, co chcieli tylko dawać teksty maszynistce, to by się znaleźli. A tu trzeba było redaktora, który będzie jednocześnie dyrektorem administracyjnym, kasjerem, maszynistką. W „Wiadomościach” zajmowałam się dosłownie wszystkim: odpisywałam na listy, obliczałam honoraria, załatwiałam sprawy bankowe, nie mówiąc już o czytaniu i adiustowaniu tekstów, łamaniu numeru, wybieraniu zdjęć i ilustracji, robieniu rewizji... Urzędnik przychodzący na trzy godziny i załatwiający prenumeraty oraz pani — też na trzy godziny do pomocy w korekcie, no i ja — to była przez wszystkie lata cała redakcja „Wiadomości”.

Redagowała Pani „Wiadomości” w stylu Grydzewskiego, stylu nieco anachronicznym, nie przystającym do tego zwłaszcza, co się działo w kraju pod koniec lat 70. Czy nie myślała Pani o odświeżeniu bądź nawet zmianie formuły pisma, o wprowadzeniu na jego łamy — w większym niż dotychczas zakresie — młodych twórców z kraju i tzw. nowej emigracji, o wyjściu poza polski zaścianek?

O odświeżeniu — myślałam, o zmianie — nie. Zmiana formuły pisma byłaby sprzeniewierzeniem się Grydzewskiemu. Grydzewski miał swoje zasady i te zasady trzeba było uszanować. Stronił od bieżącej polityki i nigdy nie zamieszczał artykułów politycznych na aktualne tematy. Był lojalny wobec swoich autorów — jak się już kogoś drukowało, to nie było mowy o atakowaniu go na łamach. Nie uznawał żadnych rocznic — jak mu się powiedziało, że jest stulecie Niemcewicza, to można było być pewnym, że nic się o Niemcewiczu w najbliższym czasie nie ukaże. Na starość zaczęły mu się nadzwyczaj podobać wspominki rozmaitych panius ze szlacheckich dworków — drukował tego tyle, że już człowiek wiedział na pamięć co się w tych dworkach działo — i z tymi wspominkami ja, oczywiście, musiałam zrobić porządek. I podobnie z poezją, bo Grydzewski — to bardzo śmieszne powiedzieć — człowiek, który właściwie stworzył całą szkołę poetycką, tak naprawdę nie znalazł się na poezji. Jemu się podobał Asnyk, Konopnicka i ich odpowiedniki w nowoczesnej literaturze. Czasem drukował wierszydła tak okropne... Tej akurat tradycji ja kontynuować nie mogła. Drukowałam rzeczy, które Grydzewskiemu na pewno by się nie spodobały, drukowałam z największą przyjemnością, zresztą — wiersze młodych poetów z kraju, niektórych pod prawdziwym nazwiskiem, innych pod pseudonimem. Ale o żadnej radykalnej zmianie linii programowej pisma nie mogło być mowy. Po pierwsze dlatego, że ja sama nie miałam ambicji nowatorskich, a po drugie — że nie było młodych, którzy chcieliby przejąć „Wiadomości”. I chyba dobrze, że tak się stało. „Wiadomości” zeszyły ze sceny wraz z pokoleniem, które je stworzyło. Pokolenie nowe, pokolenie „Solidarności” powinno mieć i ma pisma nowe, inaczej robione i dla innych odbiorców przeznaczone.

Czy „Wiadomości” zeszyły ze sceny „honorowo”, tak jak tego chciał Grydzewski?

O, tak! Nie było grosza długu, wywiązaliśmy się ze wszystkich zobowiązań. Dzięki pomocy pani Karoliny Lanckorońskiej udało mi się znaleźć „schron” na archiwum „Wiadomości” — mają one swój własny pokój w Fundacji Lanckorońskich, tam są dokumenty, listy od autorów, a nawet meble, biurko Grydzewskiego... Nic się nie zmarnowało. Ostatni numer pisma — o znacznie powiększonej objętości — jest taki, że nawet Grydzewski by się go chyba nie powstydzil.

Do ostatniej chwili trwała zbiórka pieniędzy na fundusz mający ratować pismo, prezydent RP na uchodźstwie, Edward Raczyński, apelował, by nie dopuścić do „zagaśnięcia pochodni wyniesionej z Kraju”, ale „Wiadomości” przestały się ukazywać — paradoks? — na początku 1981 r., gdy świat — i Polacy po nim rozsiadani — z napięciem wpatrywał się w Polskę.

Żaden paradoks, tylko splot okoliczności. Finansowych, technicznych, życiowych. Przy dzisiejszych kosztach druku i opłat pocztowych nawet największa ofiarność czytelników nie zabezpieczy bytu takiego pisma, jakim były „Wiadomości”. Potrzebna jest stała dotacja, a tej „Wiadomości” nie miały. Czytelnicy pisali do nas: „Nie macie pieniędzy, a drukujecie się na takim drogim, kredowym papierze”, nie wiedzieli, że to był właśnie papier najtańszy, bo mało używany, niemodny.

Niemodny też był format „Wiadomości”. Ale trzy ostatnie numery ukazały się w formacie nieomal o połowę mniejszym, już jako miesięcznik. Czy przejście z cyklu tygodniowego na miesięczny było ostatnią próbą ratowania pisma?

To była konieczność techniczna, a nie jakaś rozpaczliwa próba ratunku. Ja już nie widziałam możliwości dalszego wydawania „Wiadomości”. Wszystko się kończyło. Wymówiono nam lokal, drukarnia była tak stara, że się już nie mogła zmodernizować, jej właściciel bankrutował, a zecer, który od lat składał „Wiadomości”, zmarł. Ostatnie numery drukowałam w „Librze”, dla której cykl tygodniowy był nieosiągalny, a i z miesięcznym miałam spore trudności, dość powiedzieć, że ostatni numer — kwietniowy — wyszedł dopiero w czerwcu.

Czy „zgaśnięcie” „Wiadomości” wiązało się w jakiś sposób z niemożnością znalezienia następców, z konfliktem młodzi–starzy?

Ten problem w ogóle nie istniał.

Może w piśmie. A tak na co dzień?

Konflikt niewątpliwie istnieje, ale też musi się skończyć, bo kończy się ta pierwsza, wojenna emigracja. Młodzi z kraju przyjeżdżający tu, do Anglii, widzą bogactwo starej emigracji, te jej domy, ogródki, ale nie chcą wiedzieć, że ta zamożność została wywalczona pazurami, pracą ponad siły w ciężkich powojennych czasach. Że emigracja dorobiła się domów, ale też i chorób. Młodym się wydaje, że to oni pierwsi wymyślili opór przeciw komunizmowi, że to oni są największymi ofiarami systemu komunistycznego, że starzy nic nie rozumieją i mają tylko obowiązki. Zapominają, że bez emigracji wojennej mieliby tu sto razy gorzej, bo musieliby zaczynać od początku. Są niecierpliwi, chcieliby wszystko od razu, już dziś, bez wysiłku.

Przytłaczająca większość nowych emigrantów przybyła tutaj z powodów ekonomicznych, a nie politycznych, w czym przypomina Polonię amerykańską. Pani w swojej publicystyce wielokrotnie przestrzegała przed przeistaczaniem się bojowej emigracji politycznej w pogodzoną z władzami PRL, sentymentalną Polonię.

Zacznijmy od tego, że nikt z nas, którzy w czasie wojny znaleźli się na uchodźstwie, nie myślał o emigracji, o pozostaniu tu na stałe. Myśmy wszyscy codziennie wracali do Polski. Moja mama kupowała różne rzeczy do mieszkania w Warszawie, robiła zapasy, przez całą wojnę szykowała się do powrotu. Gdy przyszła Jalta, cofnięcie uznania rządowi, przeżyliśmy to w sposób straszny. Nasze życie się przelamało. Większość — dziewięćdziesiąt pięć procent — zdecydowała się do Polski nie wracać. I od tego momentu można o nas mówić jako o emigracji politycznej, choć my — ta świadoma swoich zadań część uchodźstwa — raczej tego określenia nie używamy. Emigrant to ktoś, kto wyjeżdża ze swego kraju, nas na obczyźnie rzuciła wojna. Oczywiście, są wśród Polaków, którzy zostali w Anglii, emigranci różnego typu. Jest inteligencja, która osiedliła się w Londynie — to ci, którzy stworzyli pewną filozofię trwania na emigracji. Są byli żołnierze, osadnicy z Kresów, ludzie, którzy nigdy przed wojną nie byli za granicą; ich patriotyzm przypomina nieco patriotyzm Polonii amerykańskiej, choć jest od amerykańskiej mniej „pokojowy”, zabarwiony doświadczeniami z Rosji, zawsze z pieśnią „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie” i orłem w koronie. Ci emigranci, tak jak i my, nienawidzą komunizmu, ale poprzyjmowali angielskie paszporty, chodzą do reżymowej ambasady po wizę do w l a s n e g o kraju, jeżdżą do komunistycznej Polski.

A swoją polskość często ograniczają do kultywowania folkloru, czego również Pani nie lubi.

Oczywiście. Ja w ogóle nie jestem zwolenniczką folkloru — wydaje mi się, że to najłatwiejsze wyjście, jakby stworzone dla ludzi, którzy wolą zajmować się pozorami, a nie rzeczami istotnymi, i swoją polskość traktują jako ozdobniki, a nie sens życia. Krakowski strój czy siano pod obrusem na wilię może mają jakieś znaczenie, ale mnie nie przekonują. Tak jak nie przekonują mnie dzieci, które nie mówią po polsku, a tańczą krakowiaka. Bardziej cenię umiejętność mówienia czy pisania po polsku niż umiejętność wywijania hołubców.

Jakie są w ogóle zadania emigracji? Tej nowej i tej starej?

Te zadania się nie zmieniły. Emigracja musi nadal dawać świadectwo, że Polska nie jest wolna. Musi podtrzymywać polską kulturę i chęć odzyskania niepodległości, pomagać krajowi. Emigracja to ta część narodu, która jest wolna; im więcej wśród niej ludzi, któ-

rzy działają na rzecz niepodległej Polski — w różny sposób: w pracy zawodowej, literackiej czy naukowej, poprzez działalność społeczną czy polityczną — tym lepiej. Jednym z pierwszoplanowych zadań — mówiliśmy już o tym — jest utrzymanie tych licznych instytucji kulturalnych czy charytatywnych, które emigracja wojenna zbiorowym wysiłkiem stworzyła.

Wszystkich? Nowa emigracja jest znacznie mniej liczna od starej, obce są jej też spory, które podzieliły emigrację wojenną.

Przynajmniej tych najważniejszych: Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego oraz Biblioteki Polskiej. Jest rzeczą naturalną, że jedne instytucje, organizacje czy partie umierają, a inne — w miarę potrzeby — się rodzą. Taką instytucją, która przeżywa dziś drugą młodość, jest Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom. Powstał w roku 1940, by opiekować się Polakami napływającymi do Wielkiej Brytanii, i przez wiele lat pomagał byłym żołnierzom w urządzeniu się, zakładaniu nowych warsztatów pracy, prowadził bezpłatną przychodnię lekarską. Później jego pierwszoplanowym zadaniem stała się opieka nad ludźmi starymi i często samotnymi — komitet stworzył dla nich specjalny dom, „Antokol”, pod Londynem. Dziś w związku z napływem nowej fali emigrantów z Polski komitet znowu udziela im pożyczek i pomocy na zagospodarowanie się.

Czy ci nowi emigranci napływający do Londynu w latach 70. i 80. zburzyli stereotyp Polaka — emigranta wojennego, żołnierza alianckiej armii — dobrego, skromnego i uczciwego pracownika?

Tak, ta nowa emigracja jest niewątpliwie inna, bo ukształtowała się przecież w innych warunkach. Czy pan wie, że istniał tu w latach 40. Komitet Opieki nad Więźniami, który rychło się rozwiązał, bo nie miał nic do roboty. Było może kilkunastu więźniów Polaków w angielskich więzieniach — to wiele mówi o morale ludzi, którzy się tutaj osiedlili. Kiedy ja tu przyjechałam, Londyn — mimo conocnych bombardowań — był miastem cichym i spokojnym. Obowiązywało zaciemnienie, ale nie słyszałam, żeby ktoś kogoś w tych ciemnościach napadł — dziś boję się wyjść wieczorem na ulicę. Jedyni Murzyni, jakich znałam, nazywali się Wojtek i Leszek, byli polskimi harcerzami, ich matką była Polka, a ojciec muzykiem jazzowym w Krakowie. Polacy pracowali ciężko, mieszkali w prymitywnych warunkach. Emigracja to nie były i nie są żadne kokosy, tylko długie lata pracy na domek, na wykształcenie dzieci, na zabezpieczenie sobie starości.

Jak powodziło się wtedy pisarzom, poetom?

Źle. Wszystkim Polakom było wtedy bardzo ciężko. Mieli za sobą przejścia wojenne, nadszarpnięte zdrowie — i minimalne możliwości zarabiania na życie pisaniem, bo piśma polskie były i są biedne. Przyjmowali więc każdą pracę — dopiero po kilku latach większość z nich znalazła zajęcie najbliższe twórczości literackiej: pracę dziennikarską w BBC, Głosie Ameryki, a przede wszystkim w Wolnej Europie — w Monachium lub w jej londyńskiej filii.

Niektórzy wrócili do kraju. Wcześniej lub później. Wrócił Tuwim, Słonimski, Pruszyński, Zofia Kossak, Kuncewiczowa, Cat Mackiewicz, Parnicki, Wańkowicz...

Nie ma prostej odpowiedzi, dlaczego pisarz wraca do okupowanego kraju. O powrocie decyduje najczęściej splot okoliczności: tęsknota za ojczyzną, trudne warunki egzystencji, brak czytelników, jakieś koncepcje polityczne... Byli wśród nas ludzie, którzy po prostu nie mogli fizycznie znieść izolacji od swego kraju. Taki był Zygmunt Nowakowski, taki był Adam Ciolkosz — oni aż do końca nie mogli sobie znaleźć w Anglii miejsca, żyli tu jak na Marsie, ale byli twardzi, nie wrócili. Kuncewiczowa jest z tych, co to są

zawsze z każdym rządem. Chciała wrócić do swojego domu w Kazimierzu, chciała żyć wygodnie, jeździć za granicę, dostawać nagrody. Nie, to nie była świetlana postać.

Pruszyński.

Wrócił i zapłacił za to życiem. On nigdy nie napisał ani jednego prokomunistycznego słowa. Miał swoje koncepcje — że Wielopolski, że trzeba się z Rosją porozumieć, że wszystko się ułoży. Ku swojemu niezadowoleniu został mianowany posłem w Holandii. W pewnym momencie wezwano go z powrotem do Polski. On już wiedział, że chodzi o działalność w czerwonej Hiszpanii — wtedy w Polsce rozprawiano się akurat z dąbrowszczakami — i ta jego śmierć w wypadku samochodowym raczej nie była przypadkowa. Powrót Cata Mackiewicza to sprawa jego ambicji politycznych — zrobiono go tu na emigracji premierem, ale nikt tej nominacji nie brał poważnie. Mackiewicz tak się nadawał na premiera, jak... Szkoda słów.

Ślonimski, Tuwim.

Tuwim, polityczny idiota, był zaczarowany komunizmem i Rosją. Pisał pięknie po polsku, to wszystko, co mogę powiedzieć o Tuwimie, polskim patriocie. Ślonimski to z kolei, według mnie, „bezpieczny bohater”, który tak się ustawia, żeby niczym nie ryzykować. Namawiał innych do powrotu, ale sam tak od razu nie wrócił, choć się po tamtej stronie zadeklarował. Pozostał w Londynie jako dyrektor reżymowego Instytutu Kultury Polskiej, później uciekł stąd na parę lat do UNESCO i wrócił do Polski dopiero po śmierci Stalina, kiedy już mu nic w Polsce nie groziło. Stał się w kraju bohaterem młodzieży, znanym opozycjonistą i jako opozycjonistę podejmowano go po latach w Londynie.

Dlaczego mówi Pani, że uciekł? Czy był tutaj bojkotowany?

Oczywiście. Nikt, absolutnie nikt nie utrzymywał z nim żadnych stosunków, wtedy takie sprawy stawiało się na ostrzu noża. Ludzie byli obolali, jakby pokryci ranami. Łatwo było człowieka dotknąć. Współpraca z reżymem, jakiś kontakt z reżymowymi instytucjami — drukowanie w kraju i akceptowanie w ten sposób komunistycznej dyktatury — było nie do pomyślenia!

Pani nigdy nie myślała o powrocie? Nawet po październiku 1956?

Nie, nigdy nie miałam złudzeń. Ale też moja sytuacja była może łatwiejsza: nie miałam w Polsce nikogo bliskiego, moi rodzice, mąż byli tutaj. Mąż wrócić nie mógł — wyszedł z sowieckiego więzienia po układzie Sikorski–Majski, mając do odsiedzenia jeszcze cztery lata. A ja byłam i pewnie nadal jestem na czarnej liście cenzury PRL.

„Kultura Niezależna” 1989 nr 50.